NOWELE POWIEŚCI

CENA 10 ZŁ.



JAN LECH

W GODZINIE DUCHÓW

Trzy ogłoszenia w „Ruchu Porannym" zwróciły uwagę panny Celestyny. Pierwsze z nich pojawiło się w połowie maja i brzmiało tak:

— „Wędrówka dusz. Niebawem komplet".

Drugie ogłoszenie było bogatsze tylko o jedno słowo — ale to słowo wzbudziło w pannie Celi dreszcz przerażenia:

— „Wędrówka dusz. Niebawem komplet. Cmentarz".

Czytając te osobliwe wyrazy w białe południe, dnia 1-go czerwca, nie przeczuwała sympatyczna panna Celutka bynajmniej, że już dzień następny wplącze ją w wydarzenia nieoczekiwane i straszne.

Dnia 2-go czerwca znalazły szare oczy Celestyny na ostatniej stronie „Ruchu" — anons trzeci, który stanowczo przewyższał oba poprzednie pod względem niesamowitości:

— „Wędrówka dusz. Dzisiaj komplet. Cmentarz. Północ."

Czytelnik zwyczajny wzruszyłby ramionami i pomyślał, że autorem tych trzech ogłoszeń jest albo jakiś niepospolity dziwak, albo student, który knuje złośliwą psotę. To drugie przypuszczenie byłoby nawet dość prawdopodobne, gdyż w całym miasteczku mówiono z przejęciem o niedawnym odczycie profesora Aurelego Spalskiego na temat rozmaitych widm, wampirów, upiorów i innych straszydeł. Profesor Aureli Spalski wykładał botanikę w miejscowej szkole średniej; niewiadomo, co skłoniło go do zajęcia się sprawami, które bądź co bądź niewiele mają wspólnego ze światem roślin. Na dobitek uczony profesor mieszkał tuż obok cmentarza i bywał przedmiotem bezlitosnych figlów ze strony swoich młodocianych słuchaczy, którzy wyzyskiwali każdą sposobność, by ośmieszyć jak najdowcipniej słynne roztargnienie łysawego botanika. Cóż prostszego, niż pomyśleć, że studenci zamierzają wykonać jakiś nowy zamach na swego roztargnionego wychowawcę.

Panna Celestyna Rzęska była innego zdania. Przesiadując od rana do wieczora przy okienku pocztowym, czekała z utęsknieniem od szeregu lat, ażeby w jej szarym, jednostajnym życiu stało się coś nieoczekiwanego. Coś niezmiernie wstrząsającego, coś pięknego, coś wzniosłego. Trudno; wiele rzeczy zmienia się na świecie — niezłomne twierdze rozsypują się w pył, ludne kraje zmieniają się w ugorzyska, pustynie przeobrażają się w ogrody — ale jedno nie zmieni się nigdy: mianowicie stare panny nie przestaną nigdy marzyć.

Panna Celestyna marzyła. Kiedy do okienka pocztowego zbliżały się czyjeś kroki, przymykała na chwilę oczy i starała się wyobrazić sobie jedną z tych postaci, jakie w młodocianych latach widywała w czarnej pelerynie, albo poety z wawrzynowym wieńcem na czole, albo młodziutkiego pazia w długich, jedwabnych pończochach. Maharadża indyjski z wielkim rubinem przy białej czaplej kicie byłby też mile widziany. Ponieważ jednak rzeczywistość nie spełniła dotąd ani razu owych tęsknych rojeń, marzenia panny Celestyny zaczęły powoli przybierać kształt nieco mniej cudowny, ale zato bardziej ziemski; gęstniały poprostu, jak smażona na wolnym ogniu jajecznica. Wreszcie wyłonił się z nich kształt jeden — a w tym kształcie było wszystko to, co umie skłonić serce panieńskie do żywszego bicia: i czar niezwykłości, i chmura poetycznego nastroju, i owa jakaś miła chłopięcość, którą miewają w sobie ludzie bardzo roztargnieni — chociażby nawet czoło ich przyozdobiła pokaźna, lśniąca łysina. Mówiąc po prostu, panna Cela zaczęła marzyć o profesorze Aurelim Spalskim, wykładającym botanikę w szkole średniej.

Rzecz prosta, nie zdradziła czułej tajemnicy swego serca ani słowem. Kiedy roztargniony profesor zbliżał się do okienka pocztowego i usiłował nadać kartę korespondencyjną, zaadresowaną do samego siebie, a podpisaną imieniem adresata — albo kiedy odchodząc, zostawiał swoją teczkę i unosił pod ramieniem dziewiczą torebkę z oderwanym rzemyczkiem i metalowymi literami „C. R." — panna Celestyna zacinała kwaśno usta, przymykała pomarszczone powieki — i nic nie zwiastowało obecnym, że w sercu jej goreje i wybucha cały wulkan tkliwości. Ani kierownik biura, słynny ze swej surowości i obowiązkowości, ani młoda panienka, przyjmująca pakunki na wagę — nie odgadliby przenigdy, dlaczego w ciągu najbliższych dziesięciu minut drżą ręce pannie Celi, naklejającej znaczki pocztowe na listy.

Najmniej może domyślał się prawdy sam profesor. To też był niepomiernie zdziwiony owego pamiętnego wieczora, gdy przed rozpoczęciem odczytu o widmach, stojąc już na estradzie i wodząc oczyma po przepełnionej sali, ujrzał nagle pannę Celestynę z wielkim bukietem purpurowych firletek w ręku. Obejrzał się spiesznie za siebie myśląc, że wchodzi do sali ktoś od niego dostojniejszy, dla kogo przeznaczony jest ten bukiet. Ale zobaczywszy jedynie strażaka ogniowego z toporkiem za pasem, i widząc, że kwiaty legły tymczasem tuż obok jego teki z zapiskami, pojął w lot, o co chodzi; ukłonił się nisko, zczerwienił mocno — i zakłopotał jeszcze bardziej. Po krótkim namyśle włożył uważnie kwiaty do kałamarza, uśmiechnął się, zastanowił — wydobył z kałamarza łodygi, ociekające atramentem, schował kałamarz z resztą czernidła do kieszeni, — kwiaty położył za sobą, na krześle i właśnie zamierzał usiąść na nich, gdy nagły wybuch śmiechu przywołał go do przytomności. Trwało to wszystko ledwie parę chwil — ale ten krótki czas wystarczył pannie Celestynie do przeżycia największego i najradośniejszego zdumienia. — „On kocha mnie", — — pomyślała stara panna, i ceglaste rumieńce wykwitły na jej twarzy.

Z samego odczytu zapamiętała niewiele. Uczony profesor drwił niemiłosiernie z ludzi wierzących w nadprzyrodzone zjawiska. — Czyż ma to jakikolwiek sens — mówił — wywoływać duchy za pomocą kręcących się stolików, czy talerzyków, suwanych po papierze, kiedy istnieje tyle zajęć stokroć bardziej zajmujących i pożytecznych? Radziłbym —

ciągnął dalej ku niepospolitej uciesze młodzieży szkolnej, obecnej na sali — radziłbym ludziom łatwowiernym, wierzącym w nieziemskie widziadła, wampiry, upiory i widma cmentarne, aby poświęcali swoje wolne chwile raczej badaniu roślin. Duchy nie powiedzą wam nic, łaskawi państwo — — tu mówca spojrzał z upodobaniem na leżące obok jego teki różowe firletki — — zato rośliny nauczą was mądrości prawdziwej. Powiedzą wam, że w życiu należy zwracać się zawsze ku temu, co jasne, dobre i czyste — tak, jak każdy kwiat nachyla się ku słońcu — —

Panna Celestyna nie rozumiała słów, słyszała tylko sam dźwięk głosu — i głos ów upajał ją, jak stare wino. Dopiero wychodząc z sali odczytowej uświadomiła sobie, że dusza jej jest rozdarta na dwie części: na miłość i na żal. Kochała profesora Aurelego Spalskiego tak mocno, jak kochać zdoła tylko stara panna, która przez całe życie chciała być komuś wierna, a nie miała komu. Równocześnie jednak nie była zadowolona z tego, co mówił przed chwilą uwielbiany człowiek. Profesor drwił z duchów — panna Celestyna wierzyła w nie. Wierzyła z tej prostej przyczyny, że lubiła wszystko, co wydawało się jej wzniosłe i niezwykłe. Od ludzi nie doznała w życiu wiele pociechy; może istoty niewidzialne, które podobno chodzą niekiedy po świecie, okażą się dla niej serdeczniejszymi.

Fakt, że profesor Aureli Spalski cenił wyżej bylejakie chwasty od widm i od zjawisk nie z tego świata — fakt ten bolał serdecznie pannę Celestynę. Wyczekiwała tylko sposobności, by udowodnić uczonemu botanikowi, że wykład jego był również piękny, jak błędny. Gdybyż to można schwytać jakiegoś ducha za skrzydła, zaprowadzić go w pobliże cmentarza, wskazać mu niewielki domek poza zielonymi sztachetami — i powiedzieć tak:

— „Duchu serdeczny! Duchu opiekuńczy — patrz! Tu mieszka człowiek, którego kocham! Tu mieszka człowiek, który mię kocha, — a tylko nie śmie wyznać swojej miłości!! Powiedz mu, żeby był śmielszy!! Powiedz mu, że..."

Na twarzy panny Celestyny wykwitły znowu rumieńce o pięknym kolorze dobrze wypalonej cegły. Odłożyła numer „Ruchu Porannego" z dnia 2-go czerwca — i zaczęła mówić półgłosem sama do siebie:

— „Jest teraz godzina siedemnasta, minut piętnaście. Za trzy kwadranse skończę służbę. Do północy zostanie mi wówczas godzin sześć. W ciągu tych sześciu godzin muszę dokonać trzech czynów — tak przerażająco wielkich, że czuję w sercu..."

Tu panna Rzęska umilkła na chwilę i zaczęła rozmyślać o tym, co właściwie czuje w sercu. Rumieńce nie bladły bynajmniej na jej licach. Po długim namyśle jęła szeptać znowu:

— „Po pierwsze — muszę pójść do profesora i zaznajomić się osobiście z nim."

Blado-liliowe żyłki na ceglastych skroniach tętniły mocno. Panna Cela westchnęła głęboko i mówiła dalej:

— „Powtóre, muszę namówić profesora, aby poszedł ze mną na cmentarz, mniej więcej na dziesięć minut przed północą".

Luby wietrzyk wpadł przez uchylone okienko pocztowe, zatańczył dokoła stołu — i zaczął szeleścić leciutkiemi recepisami listów poleconych; potem uniósł się nieco i starł ze skroni starej panny kilka kropelek potu.

— „Po trzecie, — musimy oboje, na cmentarzu, o północy — rozwiązać straszliwą tajemnicę wędrówki dusz. To znaczy: ja — rozumiem dobrze te słowa; trzeba tylko, abym przekonała naocznie profesora, że dusze wędrują — — —"

Panna Celestyna zamyśliła się znowu. O wędrówce dusz czytała przed kilku miesiącami niewielką książkę, zatytułowaną „Żyjemy nie jeden tylko raz", a wydaną w Kocmyrzowie. Autor, ukrywający się wstydliwie pod mianem „Rama Yoga" — (z zawodu prasowacz spodni i przyszywacz guzików w pewnym zakładzie krawieckim) — obiecywał swym czytelnikom rzucić snop światła na najgłębsze tajniki cudownej wiedzy indyjskiej. Twierdził między innymi, że człowiek żyje nie raz, ale kilka, kilkanaście, nawet kilkadziesiąt razy. Umrze sobie człeczyna, pochowają go — aż tu ci raptem — buch! Zamiast mieć wieczne odpoczywanie po znojach tego żywota, rodzi się znowu, i znowu ząbkuje, raczkuje, chodzi do szkoły, uczy się alfabetu, kradnie jabłka, bierze w skórę, i powoli mądrzeje, i przez kilkadziesiąt lat ciężko pracuje na chleb powszedni, — i choruje, i umiera po to, aby za jakiś czas znowu zacząć tę rzecz od początku. W głowie huczy, gdy się to czyta — ale trudno; tak pisał „Rama Yoga" z Kocmyrzowa, więc coś na tem musiało być. Może naprawdę dusza ludzka wędruje z jednego ciała w inne? Z ciała starczego, umarłego — w ciałko nowe, świeżo urodzone, dziecinne?

— „Ba! ale czy tylko — myślała panna Celestyna — wędrując tak, dusza ludzka jest widzialna? Czy można ją zobaczyć, kiedy wyjdzie z trupa, a nie weszła jeszcze w ciało żywego dziecka? Czy można ją widzieć tak, jak się widzi ptaka, który przelatuje z jednego drzewa na inne?" — —

Bo jeżeli takiej duszy widzieć by nie można, to pocóż ta cała nocna wędrówka na cmentarz? Nie zobaczylibyśmy nic — szeptała sama do siebie — i profesor rozzłościłby się tylko na mnie za trud nadaremny...

Z drugiej strony — coś nader ważnego przemawiało za tym, że wędrujące duchy ludzkie bywają widzialne: obok prawego łokcia panny Celi leżał na stoliku numer „Ruchu Porannego", z widniejącym na ostatniej stronie ogłoszeniem:

— „Wędrówka dusz. Dzisiaj komplet. Cmentarz. Północ."

To ogłoszenie ktoś chyba dał do gazety; a ten ktoś albo sam był duchem, albo widział ducha — inaczej ogłoszenie nie pojawiło by się wogóle. Oczywiście, człowiek, który zapowiedział wędrówkę dusz tak wyraźnie i dokładnie, musiał dowiedzieć się o tym od jakiegoś ducha; nikt żywy nie udzielił by mu przecież takiej wieści.

Wybiła godzina szósta — i na niebie poszarzało lekko; pomimo pory wiosennej, nastrój jakoby rozpoczynającej się jesieni przewiał powietrzem. Ciężkie chmury deszczowe płynęły nisko nad polami, widnymi daleko z pocztowego okna. Poza polami szarzał las, jakby posiniały od mgły przedwieczornej; las ten wydawał się dziwnie daleki, dalszy niż zwykle — tak, jak gdyby idąca ulewa odsunęło go precz, aby mieć więcej miejsca do hasania po polach.

— „Nie ma co, będzie nastrojowo!" — mruknęła panna Celestyna sama do siebie, zdejmując z kołka szarawy płaszcz i naciągając go na chude ramiona. — Co chciała powiedzieć przez to słowo „nastrojowo" —

nie wiadomo; być może, iż w popielatym pół-świetle słoty wydawała się sobie sama piękniejsza.

Nie spieszyła się zbytnio — czasu było przecie dość. Powolnym krokiem zaszła do domu, rozejrzała się po niewielkiej swej izdebce, zamieszkiwanej od lat kilkunastu — i otworzyła skrzypiącą szafę. Stała przed nią przez jakiś czas nieruchoma, pogrążona w głębokim zastanowieniu; potem nagłym ruchem wyjęła z szafy strój, wybornie nadający się do wędrówki na cmentarz o północy — mianowicie wieczorową suknię z liliowej gazy z wlokącym się długim ogonem, i pomarańczowy turban z trzema ładnymi, zielonymi piórami. Nie minęło dziesięć minut, a była już gotowa do drogi.

Profesor Aureli Spalski zamierzał właśnie przyrządzić sobie krzepiący wieczorny posiłek i w tym celu spoglądał z uwagą na trzymane w ręku jajko, zanurzając równocześnie zegarek w kipiącej wodzie — gdy nagle u drzwi, wiodących z niewielkiej sionki na resztę kuli ziemskiej, rozległo się pukanie trzykrotne.

— Kto tam? — rzekł półgłosem, kładąc zegarek na stole, a jajko chowając starannie w kieszeń kamizelki.

Pukanie rozległo się znowu. Niewątpliwie, któryś z uczniów szkoły średniej przynosi rzadki okaz rośliny, odkrytej w okolicy. Dlaczego jednak czyni to tak późno? Trzeba będzie bardzo go pochwalić — i trochę zwymyślać. W jednym bucie i w jednym pantoflu profesor pokusztykał przez sień do drzwi, otworzył je — i odskoczył przerażony.

— O, do licha! — zakrzyknął — dzisiaj jest bal maskowy? Doszczętnie o tym zapomniałem. Hm... — dodał z głębokim zamyśleniem, trąc czoło — tylko jaki ja włożę kostium?

— Weź pan pelerynę nieprzemakalną, bo deszcz zaczyna padać! — odrzekła półgłosem panna Celestyna, myśląc równocześnie, że zapomniała w domu chustkę do nosa i nie ma czym zetrzeć potu, perlącego obficie jej czoło.

— A czy można w pelerynie iść na bal? — zapytał profesor

— Niekoniecznie! — szepnęła strojna zjawa, przykładając dłoń do serca.

— To czemu pani mówi, żebym poszedł na bal w pelerynie?

— Nie mówiłam tego zupełnie. Balu żadnego nie ma.

— Skoro nie ma, to dlaczego pani mówiła o balu?

— Nie mówiłam zupełnie.

— Doprawdy? Więc któż to mówił o balu?

— Pan sam.

— Ja?

— Pan

— Dobrze, dobrze, ale skąd mi to na myśl przyszło? Tu uczony profesor przyjrzał się bacznie pannie Celestynie i mruknął sam do siebie:

— To chyba nie Powsinkiewicz...

Było to nazwisko najzłośliwszego z wszystkich psotników szkolnych; profesor pracował nad nim od lat, starając się obudzić w krnąbrnej duszy figlarnego młodzieńca łagodne zamiłowanie do zbierania ziół. Wyniki owych starań były jednak nikłe; Powsinkiewicz broił, profesor przebaczał i pouczał — a rośliny na łąkach kiełkowały, kwitły i więdły...

Jakoś tam porozumieli się oboje.

*

W gęstym mroku, w chlapiącym deszczu szli oboje błotną ścieżką, wiodącą do bramy cmentarnej. Ciemność rozświetlały niekiedy czerwonawe błyskawice, i dudniący huk przewalał się po niebie, jakby olbrzym jakowyś w ciężkich butach biegł po niewidzialnych rozpadlinach chmur. Ponad rozmiękłą ziemią było czarno, jak czarno jest w kamiennym więzieniu podziemnym.

Brama cmentarna była uchylona. Profesor wszedł pierwszy, pośliznął się i runął jak długi.

— Niech mi pani rękę poda — jęknął — nie mogę wstać, tak tu ślisko!

Panna Celestyna nie zauważyła katastrofy z tej prostej przyczyny, że nie widziała nieszczęsnej ofiary i nie słyszała błagalnego jej głosu. Ciemno było, wicher dął i właśnie grzmot jakiś dudnił po obłokach.

Po chwili jednak stało się coś straszniejszego od błysku i trzasku pioruna. Panna Celestyna uczuła, że coś chwyta ją za prawą nogę nieco powyżej kostki.

Okrzyk, który wydała, mało miał związku z tym kłopotliwym wrażeniem, doznawanym zresztą po raz pierwszy w życiu. Krzyknęła mianowicie piskliwym głosem — Duch! — i starała się odbiec jak najdalej od przerażającego niebezpieczeństwa.

Nie postąpiła jednak ani kroku naprzód. Tajemnicza dłoń — niewątpliwie dłoń ducha, wygrzebującego się spod ziemi — — ściskała jej łydkę coraz to potężniej.



Na domiar zła panna Celestyna, uwięziona w sposób nader kłopotliwy przez niewidzialnego upiora przekonała się z przerażeniem po upływie paru sekund, że tajemniczy napastnik posiada również drugą rękę. Pięć potężnych palców, mocnych jak szpony sępa, wpiło się bezlitośnie w niewinne sztachety jej żeber.

Równocześnie potworne jakieś brzemię, ledwo widzialne w ciemności, jęło wynurzać się z błotnistego padołu i przybliżało się coraz to bardziej, sapiąc i dysząc.

— To ja, profesor — usłyszała ze zdumieniem. — Upadłem, i nie mogę dźwignąć się o własnych siłach. W dodatku zgubiłem gdzieś pantofel. Niechże pani stoi spokojnie!

Przerażenie ustąpiło miejsca rozkosznemu zadziwieniu. Co tu dłużej taić! Panna Celestyna znalazła się w ramionach uczonego botanika, — tak; pochwycona, otulona, ściśnięta tak mocno, jak list w kopercie.

Ani jemu, ani jej nie przyszło na myśl, że mogliby rozstać się. Trwali nieruchomo, jak wyrzeźbiona w marmurze para kochanków starożytnych.

Po chwili stały się dwie rzeczy nieoczekiwane. Po pierwsze — burza uciszyła się i księżyc wyjrzał z za chmur. Na cmentarzu stało się prawie widno.

Po drugie — na cmentarzu, — tak, na cmentarzu, około północy! — ozwała się skoczna muzyka taneczna.

Skąd płynęła, nie wiadomo. Profesor Aureli Spalski nie pytał jednak o takie drobnostki. — Gdzie jest muzyka, tam jest widocznie bal! — pomyślał — i właśnie sposobił się do porwania panny Celestyny w upajający wir obertasów i wywijasów, — gdy nagle, —

Gdy nagle stała się zdumiewająca rzecz trzecia. Oto z poza niezbyt odległego nagrobka wysunęło się widmo, tym razem prawdziwe.

Szło powoli, wysokie, blade, niemiłosiernie przeraźliwe. Było opięte całunem białawym, wlokącym się po ziemi. Upiór przeszedł parę kroków, przystanął, rozejrzał się — i ruszył wprost ku profesorowi.

Ale profesor nie stracił zimnej krwi. Lewą ręką obejmował drżącą kibić panny Celestyny, — prawą nagle wyciągnął groźnie ku wlokącemu się coraz bliżej widziadłu, — i zakrzyknął:

— Powsinkiewicz, drabie, to ty?

W odpowiedzi buchnął ogień i dym, i huknął strzał.

Profesor uczuł piekący ból w lewym ramieniu. Jakieś potężne uderzenie trzasnęło go w kość tuż nad łokciem. Coś ciepłego, mokrego zaczęło sączyć się i ociekać z dłoni.

Widmo podwinęło całun i jęło uciekać. Panna Celestyna czuła, że mdleje. Ostatkiem przytomności zobaczyła, że z poza każdego pobliskiego nagrobka wysuwa się wysoki, biały upiór. Kilkanaście widm, niosących jakoweś spore brzemiona, przemknęło ścieżką cmentarną. Przez chwilę było pusto.

Potem —

*

Numer „Ruchu Porannego" z dnia 3-go czerwca doniósł na pierwszej stronie, że dzięki nieporównanemu męstwu panny Celestyny Rzęskiej i profesora Aurelego Spalskiego wykryto na cmentarzu bandę opryszków, przemycających aparaty radiowe. Opryszki, których skusił do zła niegodziwy, a łatwy zarobek — porozumiewały się za pomocą ogłoszeń w gazecie co do miejsca i pory przemytu; na pomysł przebrania się za duchy cmentarne wpadł jeden z nich, Iżko Puch, namiętny czytelnik wydawnictw Rama Yogi z Kocmyrzowa.

Białe całuny miały zapewnić im bezpieczeństwo w razie napotkania jakiegoś przechodnia. Może jednak poprzebierali się głupi chłopcy raczej dla zabawy, niż z myślą o straszeniu ludzi. Nie przewidywali bynajmniej, że na cmentarzu, o północy znajdzie się ktoś żywy — oraz, że jeden z przemycanych aparatów radiowych zacznie grać sam i naprowadzi zaczajoną opodal policję na trop bandy.

*

Numer „Ruchu Porannego" z dnia 8-go czerwca doniósł, że profesor Aureli Spalski czuje się znacznie lepiej. Miasteczko odetchnęło z ulgą.

*

Nadzwyczajne wydanie „Ruchu Porannego" z dnia 12-go czerwca oznajmiło wszystkim czytelnikom, że ślub panny Celestyny Rzęskiej z profesorem Aurelim Spalskim odbędzie się nazajutrz.

*

Kiedy młoda para wracała z uroczystości zaślubin, myśli panny Celestyny zalewało istne morze szczęścia i dumy. W tym jasnym morzu była jednak pewna fala szara i smutna. Panna Celestyna — przepraszam! — pani Aurelowa Spalska zauważyła z niezadowoleniem, iż kroczący obok małżonek jej spogląda z większą namiętnością na bukiet weselny, który niosła w ręku, niż na nią samą. Uczony botanik mruczał coś pod nosem po łacinie, — zapewne nazwy roślin.

Napisał TADEUSZ BRZECHWA-BERNAŚ

MIRAŻ

Załamał się okres powojennej „prosperity". Od 1929 r. szalał światowy kryzys szczególnie dotkliwy w Polsce.

Stefek był głodny...

Rok 1932 rzucił go na bruk z dyplomem uniwersyteckim.

Szedł ulicami, wielkiego, ruchliwego miasta i wystukiwał z pasją wielkimi buciarami o kamienne płyty chodnika. Nieczułe były, zimne, twarde. Odpowiadały mu urągliwym stukotem, często wciągały którąś z jego umęczonych wędrówką nóg, w zdradziecki wybój lub rozpadlinę. Syczał wtedy z bólu i złości. Szedł naprzód bez wyraźnie określonego celu ze zrezygnowaniem i apatią bezrobotnego inteligenta. Rozmyślał nad swym losem. Co począć, dokąd udać się? Z zadumy tej wyrwał go jakiś piskliwy, kobiecy głos...

— Patrz Romeczku, jaki to rasowy typ — co za rysy — szkoda tylko, że taki obdarty. W smokingu byłoby mu bardzo do twarzy.

Spojrzał jej w oczy wzrokiem zgonionego, głodnego i złego zwierzęcia. Szła przylepiona do ramienia swego amanta — miernoty. Spuściła oczy pod przenikliwym wzrokiem Stefka, instynktownie jakimś ruchem przycisnęła mocniej do wysokiej piersi piękną skórzaną torbę i przyśpieszyła kroku ciągnąć za sobą swego głupio uśmiechniętego dandysa.

— Cholera, zaklął Stefek — najpierw cielęcy zachwyt — rasa — typ — potem obawa o torebkę, a ja mam w kieszeni dwa dyplomy uniwersyteckie... W tej chwili jakaś wymalowana, tęga i upierścieniona jejmość trąciła go swym pulchnym łokciem tak silnie, że stoczył się z chodnika na jezdnię.

— Nie pchaj się łobuzie — usłyszał rozzłoszczony szept. Spojrzał na nią nienawistnie. Chciała jeszcze coś rzec — rozmyśliła się i odeszła szybko. Powlókł się dalej powoli. Nie miał już siły — tak długo nie jadł... W pewnej chwili ujrzał obok wejścia do banku ogłoszenie. Czytał... „Potrzebny natychmiast główny woźny. Wymagane świadectwo ukończenia szkoły powszechnej, świadectwo moralności. Wynagrodzenie według umowy. Dyrektor Banku..." Wszedł do środka.

A może?...

— Pan dyrektor przyjmuje?

— Pan w jakiej sprawie? — spytał woźny, mierząc go nieprzyjaznym spojrzeniem obrosłego w piórka totumfackiego dyrektora.

— Ja w sprawie posady.

— Woźnego?

— Tak.

— Hm — zamelduję pana. Po chwili wrócił.

— Pan dyrektor prosi. Stefek wszedł. Gabinet dyrektora był pięknym pokojem o stylowym umeblowaniu, utrzymany w lekko orzechowym tonie. Było tu cicho, przytulnie... Dyrektor podniósł głowę znad papierów.

— Czego pan sobie życzy?

— Ja w sprawie posady woźnego.

— Aha — ma pan świadectwo ukończenia szkoły powszechnej.

— Niestety nie — zaginęło mi gdzieś.

— To źle...

— Ale mogę złożyć egzamin z tego zakresu przed panem dyrektorem.

— Hm, — wcale niezła myśl — mruknął dyrektor zadowolony. Egzaminowanie innych było jego słabostką. No powiedzmy — coś z matematyki.

— Słucham.

— Jedna cegła waży 1 kg i pół pół cegły — ile ważą dwie cegły?

— 4 kg panie dyrektorze.

— Jak to pan obliczył?...

— Przy pomocy równania.

— Proszę, proszę — skąd pan to wie?

— Tak, z amatorstwa zajmowałem się trochę więcej matematyką.

— Dobrze, a teraz, czy pan da sobie radę z 15-ma woźnymi w naszym banku?

— Znam boks i „dżu-dżitsu" — także.

— Przyjmuję pana, ale jak pan się nazywa?

— Stefan Kryński.

— Odtąd będzie pan dla wszystkich w banku tylko Stefanem.

Rozumiem.

— Proszę udać się teraz do woźnego Walczaka. Wyda panu uniform i wskaże mieszkanie. Wynagrodzenie 400 złotych.

— Och, nie marzyłem nawet o połowie tego!

— Trudno, to już postanowiono — i niech Stefan pamięta, że jest pierwszym wśród woźnych — reprezentacja, dobre maniery, grzeczność — zrozumiał Stefan?

— Tak jest panie dyrektorze — tylko...

— No — cóż tam jeszcze?

— Jestem głodny — bardzo głodny...

— Ach — proszę — idźcie, gdzie do restauracji rzekł dyrektor wręczając mu nowiuteńki, przyjemnie szeleszczący banknot.

*

Stali bywalcy restauracji nie mogli wyjść z podziwu nad apetytem młodego człowieka. A Stefek, jadł... jadł...

*

Zaczęła się dla niego nowa era. Otrzymawszy uniform dopasował go u pierwszorzędnego krawca, kupił sobie eleganckie buciki, bieliznę... Zawsze świeży, gładko wygolony, wyglądał na wyższego urzędnika banku, przebranego dla żartu w uniform woźnego. Podlegli mu woźni z początku stanowili jawną opozycję. Kiedy jednak w chwili sprzeczki

chwycił jednego z nich i z niedźwiedzią siłą zaniósł przed gabinet dyrektora — zaimponował im i poddali się z lekkim mruczeniem ujarzmionych bestyj. Urzędnicy patrzyli nań nieufnie, jakby z pewną obawą, urzędniczki jawnie go kokietowały.

— Wiecie — mawiali panowie — ten Stefan — to „kuta sztuka". Wygląda jak lord na balu kostiumowym.

— Ach! — jaki on przystojny — wzdychały panie.

*

Pewnego dnia wezwał go do siebie główny kasjer. — Stefanie — jeśli któren z woźnych nie ma czegoś do roboty — przyślijcie go tu na kasę. Stefan nie wytrzymał.

— Przepraszam pana kasjera — nie mówi się któren, tylko który — nie czegoś — tylko czego — i nie na kasę — a do kasy!

— Co? Co? — jak śmiecie?

— Bardzo przepraszam, a to sprawozdanie kasowe, które panu posłał wczoraj pan Pieniążkiewicz, jest zupełnie źle sporządzone — sprawdzałem je...

— Wynosić mi się zaraz — ja was! ja was!...

*

Po paru dniach wezwał go dyrektor. Był odpychająco urzędowy.

— Jest pan wolny od tej chwili.

— Ależ dlaczego panie dyrektorze?

— Za dużo pan wie — zresztą doktór dwóch fakultetów na stanowisku woźnego, choćby z królewską gażą, jakoś groteskowo wygląda.

— Skąd pan dyrektor?...

— My wszystko wiemy, a w dobie kryzusu znajdę na pana miejsce stu bardziej potulnych woźnych — żegnam!

*

I znowu chodził głodny po ulicach miasta. Nie umiał żebrać. Głód skręcał mu wnętrzności. Żeby jakąś pracę znaleźć i jeść... jeść... jeść!! Przystanął przed jakimś biurem. Uwagę jego przykuła karteczka z napisem: „Potrzebny urzędnik ze znajomością niemieckiego i angielskiego". Znowu jak niegdyś znalazł się w gabinecie dyrektora.

— Ja w sprawie posady...

— Pan?!

— Tak, ja!

— Czy pan serio mówi?

— Najzupełniej!

— A tego — języki? Przecież...

— Nie wyglądam na człowieka mówiącego w sumie trzema językami — wiem o tym — ale... To mówiąc położył przed dyrektorem plik papierów. Dyrektor przejrzał je uważnie.

— Hm — wcale, wcale — przyjmuję pana — jutro.

— Panie dyrektorze — jestem głodny — bardzo głodny...

— Pan wybaczy, ale tu nie jest garkuchnia! Stefek wyszedł.. Ogarniało go coraz większe znużenie i senność. Zboczył z wielkiej ruchliwej ulicy i zagłębił się w labirynt wąskich, krętych uliczek przedmieścia. Poczuł tak wielkie osłabienie, że oparł się o bramę jednego z małych parterowych domków. Zapadł wieczór. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Pewnie pijany, myślano... Do sieni prowadziły schodki. Nęciły... kusiły... Stefek usiadł i prawie zaraz zasnął. Sen objął go miłosnym, błogim uściskiem i roztoczył na ekranie podświadomości cudowny obraz... Oto znajdował się w pięknej, rozległej,



rzęsiście oświetlonej sali, wśród tłumu eleganckich gości. Pił szampana i różne najlepszych marek wina i jadł najwyszukańsze potrawy. Wszyscy mu nadskakiwali. Był asem zgromadzenia. Nie wiedział wprawdzie czemu to przypisać, ale dobrze mu z tym było i dał spokój analizie.

Jadł i pił z pasją jakąś, wściekłością, z kunsztem scenicznego żarłoka. Od czasu do czasu spoglądał ukradkiem na resztę biesiadników, czy nie gorszą się jego iście wilczym apetytem... Nie. Wszyscy jedli z tą samą, co i on żarłocznością. Cieszył się tym... W całym ciele czuł błogi, rozleniwiający członki dosyt.

*

Na drugi dzień dyrektor wielkiego biura eksportowego Brochwicz i S-ka czytał poranne gazety w swym luksusowo urządzonym gabinecie.

Z kroniki wypadków.

Wczoraj wieczorem w bramie jednego z domów, na przedmieściu zmarł nagle młody, 25-letni Stefan Kryński. Przybyły na miejsce wypadku lekarz pogotowia stwierdził zgon na skutek głodu, wycięczenia i związanej z tym wysokiej temperatury. Przy zmarłym znaleziono dwa dyplomy uniwersyteckie oraz umowę o pracę z firmą Brochwicz i S-ka z ważnością od dnia następnego. Nieszczęśliwy zmarł u samych wrót swej lepszej przyszłości.

*

— Hm — mruknął dyrektor Brochwicz, jedząc trzecią z kolei bułkę z szynką i popijając wonną, aromatyczną „mokka" — przykry wypadek — niezbyt miły dla naszej firmy — pisma lewicowe uderzą na alarm. Mówił wprawdzie, że jest głodny, ale kto go wiedział, że aż tak...



Wydawca: Agencja Reklam i Wydawnictw „Reklama“, Kraków, Krowoderska 68. Tel. 587-67. — Redaguje Kolegium.
Druk. w Drukarni I pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1 M—12738